

JOE HILL



ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE FIREMAN

Copyright © Joe Hill 2016

All rights reserved

Published by arrangement with HarperCollins Publishers. All rights reserved.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2017

Redakcja: Marta Grał

Ilustracje na okładce, projekt graficzny okładki i projekt wyklejek: Dark Crayon

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

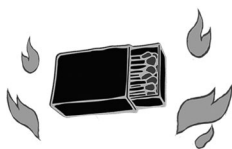
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



PROLOG

Płonący



HARPER GRAYSON WIDZIAŁA w telewizji, jak płoną ludzie – wszyscy widzieli, ale pierwszy raz zobaczyła, jak ktoś płonie naprawdę, na placu zabaw za szkołą.

W Bostonie i innych częściach Massachusetts szkoły zostały zamknięte, ale tu, w New Hampshire, wciąż jeszcze były otwarte. W New Hampshire zdarzały się przypadki, jednak było ich niewiele. Harper słyszała o sześciu pacjentach przetrzymywanych w bezpiecznym skrzydle Concord Hospital, nad którymi czuwał zespół lekarzy w kombinezonach ochronnych i pielęgniarki uzbrojone w gaśnice.

Harper przykładła zimny kompres do policzka Raymonda Bly'ego, pierwszoklasisty, który zarobił w twarz rakietą do badmintonu. Każdej wiosny zdarzało się parę takich przypadków, że trener Keillor łamał rakiety do badmintonu. Co roku powtarzał dzieciakom, żeby znosiły to jak mężczyźni, nawet wtedy, kiedy trzymały w garści własne zęby. Czasami miała ochotę być tam i patrzeć, jak dostaje rakietą w jaja, tylko po to, by powiedzieć mu, żeby sam znosił to po męsku.

Raymond nie płakał, gdy przyszedł, ale po tym, jak zobaczył się w lustrze, na chwilę stracił panowanie nad sobą, broda zaczęła mu się trząść, a mięśnie twarzy drgnęły nerwowo. Oko było sinoczarne, niemal całkowicie zamknięte przez opuchliznę, i Harper wiedziała, że ten widok jest dużo bardziej przerażający niż ból.

Chcąc odwrócić uwagę chłopca, sięgnęła do schowka ze słodyczami. Było to poobijane pudełko na lunch z przerdzewiałymi zawiasami i podobizną Mary Poppins, w którym mieściło się kilkadziesiąt minibatoników, a także przerośnięta rzodkiewka i ziemniak, zarezerwowane na najczarniejszą godzinę.

Zajrzała do środka, podczas gdy Raymond przyciskał kompres do policzka.

– Hm – odezwała się. – Coś mi się wydaje, że mam tu jeszcze jednego twixa i chyba mogłabym go wykorzystać.

– Dostanę batonik? – spytał chłopiec stłumionym głosem.

– Dostaniesz coś lepszego. Mam tu wielką, pyszną rzodkiewkę i jeśli będziesz naprawdę grzeczny, pozwolę ci ją zjeść, a sama zjem twixa. – Pokazała mu wnętrze pudełka, żeby mógł przyjrzeć się rzodkiewce.

– Faj. Nie chcę rzodkiewki.

– A co powiesz na wielkiego słodkiego ziemniaka? To prawdziwy rarytas.

– Faj. Siłujmy się na rękę o to, kto dostanie twixa. Jestem w tym lepszy od mojego taty.

Harper zagwizdała trzy takty *My Favorite Things*, udając, że rozważa jego propozycję. Często pogwizdywała melodie z musicali z lat sześćdziesiątych i potajemnie marzyła o tym, że wtórują jej sójki błękitne i rudziki.

– Raymondzie Bly, nie wiem, czy to dobry pomysł, żebyś siłował się ze mną na rękę. Jestem bardzo wysportowana.

Udawała, że musi wyrzucić przez okno, żeby to przemyśleć, i właśnie wtedy zobaczyła mężczyznę przecinającego plac zabaw.

Z miejsca, w którym stała, widziała drogę, kilkadziesiąt metrów asfaltu, tu i ówdzie upstrzonego kratkami do gry w klasy. Nieco dalej znajdował się plac zabaw z huśtawkami, zjeżdżalniami, ścianą wspinaczkową i rzędem stalowych rur, w które dzieciaki uderzały jak w gongi, tworząc własną muzykę (te rury Harper nazywała w duchu „ksylofonem potężnych”).

Trwała pierwsza godzina lekcyjna, jedyna pora dnia, kiedy za oknem gabinetu nie widziała gromady rozwrzeszczanych, biegających, śmiejących się i wpadających na siebie dzieci. Był

tylko ten człowiek – facet w workowatej, zielonej kurtce wojskowej i luźnych, brązowych spodniach roboczych, z twarzą ukrytą pod daszkiem brudnej bejsbolówki. Przeciął na skos asfaltową drogę i znalazł się na tyłach budynku. Głowę miał spuszczoną i zataczał się, jakby nie potrafił iść prosto. Z początku Harp pomyślała, że jest pijany. Dopiero po chwili zobaczyła dym wydobywający się z rękawów. Gęsty, biały opar wylewał się spod kurtki, kłębił wokół rąk mężczyzny i unosił się zza kołnierza, spowijając długie ciemne włosy mężczyzny.

Facet, potykając się, zszedł z chodnika prosto na plac zabaw. Zrobił trzy kroki, zatrzymał się i położył prawą rękę na drewnianym szczeblu drabinki. Nawet z tej odległości Harp widziała coś na wierzchu jego dłoni, ciemny pasek podobny do tatuażu, ale upstrzony plamkami złota, mieniącymi się jak drobinki kurzu w oślepiających promieniach słońca.

Widziała w wiadomościach doniesienia, ale w pierwszej chwili nie bardzo zdawała sobie sprawę, czego właściwie jest świadkiem. Słodczyce wypadły z pudełka i z grzechotem rozsypały się po podłodze. Ona jednak niczego nie słyszała; nie miała pojęcia, że pudełko przechyliło jej się w ręce, sypiąc naokoło minibatonikami i czekoladkami Hershey's Kisses. Raymond patrzył, jak ziemniak z plaśnięciem spada na podłogę i wtacza się pod szafkę.

Mężczyzna, który przed chwilą zataczał się jak pijany, zaczął zapadać się w sobie. Nagle wygiął się w łuk, konwulsyjnie odrzucił w tył głowę, a przód jego koszulki stanął w płomieniach. Harper zdążyła zerknąć na jego wymizerowaną, udręczoną twarz i chwilę później głowa nieznanego zmieniła się w pochodnię. Lewą ręką próbował ugasić płomienie na piersi, prawą nadal trzymał się drabinki. Palce prawej dłoni płonęły, osmalając sosnowe szczeble. Głowa mężczyzny coraz bardziej odchylała się do tyłu, a gdy otworzył usta, żeby krzyknąć, z jego gardła dobył się czarny dym.

Widząc minę Harper, Raymond obejrzał się przez ramię w stronę okna. Pudełko upadło na podłogę, a Harp pośpiesznie wyciągnęła ręce do chłopca. Jedną przytrzymała zimny kompres, a drugą położyła mu na karku, zmuszając go, by odwrócił się od okna.

– Nie patrz, kochanie – powiedziała, zdumiona spokojem w

swoim głose.

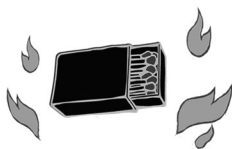
– Co to było? – spytał chłopiec.

Sięgnęła za siebie, na oślep, szukając sznurka żaluzji. Mężczyzna na placu zabaw upadł na kolana. Pochylił głowę jak pogrążony w modlitwie muzułmanin. Jęzory ognia zmieniły go w stertę płonących szmat i gęstego dymu, który rozwiewał się w rześkim kwietniowym powietrzu.

Roleta opadła z metalicznym szczękiem, zasłaniając wszystko poza migotaniem złotego światła, które tańczyło szaleńczo na jej krawędziach.

KWIECIEŃ

1



HARPER OPUŚCIŁA SZKOLĘ GODZINĘ po tym, jak ostatnie dziecko poszło do domu, ale i tak wyszła wcześniej niż zwykle. Zazwyczaj kończyła pracę o siedemnastej, bo czuwała nad bezpieczeństwem mniej więcej pięćdziesięciorga dzieci, które zostawały w szkole po lekcjach, podczas gdy ich rodzice pracowali. Dziś o piętnastej w budynku nie było żywej duszy.

Wyłączwszy światła w gabinecie pielęgniarki, stanęła przy oknie i kolejny raz wyjrzała na plac zabaw. Na chodniku, w miejscu, gdzie strażacy użyli węża wysokociśnieniowego, żeby zmyć szczątki zwęglonego ciała, pozostała czarna plama. Miała przeczucie, że nigdy więcej nie wróci do tego pokoju i nigdy więcej nie wyjrzy przez to okno. Nie myliła się. Tego wieczoru szkoły w całym stanie zostały zamknięte, a lokalne władze zapewniały, że zajęcia zostaną wznowione, gdy tylko kryzys zostanie opanowany. Tak się jednak nie stało – kryzysu nie opanowano.

Harper wyobrażała sobie, że będzie miała cały dom tylko dla siebie, ale kiedy wróciła, Jakob już tam był. Włączony telewizor grał cicho, a Jakob rozmawiał przez telefon. Sądząc po jego głosie – spokojnym, opanowanym, niemal leniwym – trudno było zgadnąć, że jest rozemocjonowany. Trzeba było go zobaczyć krążącego po pokoju, żeby zrozumieć, jak bardzo się denerwuje.

– Nie, nie widziałem tego na własne oczy. Johnny Deepenau pojechał tam jedną ze swoich ciężarówek i pomagał usuwać szczątki z drogi. Zrobił zdjęcia komórką i przesłał je nam. Wygląda, jakby w

środku wybuchła jakaś bomba. Jak po ataku terrorystycznym, jak... Zaczekaj. Właśnie weszła Harp. – Jakob opuścił telefon i przyłożył go do piersi. – Nie wracałaś przez centrum, prawda? Wiem, że nie. Zamknęli wszystkie drogi od North Church aż do biblioteki. W całym mieście roi się od gliniarzy i żołnierzy Gwardii Narodowej. Autobus stanął w płomieniach i uderzył w słup telefoniczny. Jechali nim Chińczycy zarażeni tym cholerstwem, pieprzoną smoczą łuską. – Odetchnął, pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć, że jacyś ludzie mieli czelność stanąć w płomieniach w centrum miasta w taki piękny dzień, odwrócił się i przyłożył telefon do ucha. – Nic jej nie jest. O niczym nie wiedziała. Jest już w domu i coś mi mówi, że czeka nas awantura, jeśli myśli, że w najbliższym czasie pozwolę jej wrócić do pracy.

Harper usiadła na skraju kanapy i spojrzała na telewizor. W lokalnych wiadomościach pokazywano materiał z wczorajszego meczu Celtic, jakby nic się nie wydarzyło. Isaiah Thomas stanął na palcach, odchylił się, zamachnął i wyrzucił piłkę prawie na połowę boiska. Wtedy nie mogli o tym wiedzieć, ale przyszedł tydzień oznaczał koniec sezonu. Do lata większość zawodników Celtics nie żyła, a powodem śmierci był samozapłon lub samobójstwo.

Jakob krążył po pokoju w sznurkowych sandałach, ciemnych dżinsach i równie ciemnej bluzie.

– Co? Nie. Nikt nie przeżył – rzucił do telefonu. – I wiem, że zabrzmi to brutalnie, ale cieszę się, że tak się stało. Przynajmniej nikt nas nie zarazi. – Słuchał przez chwilę, po czym roześmiał się i dodał: – Taa... kto zamawiał płonący półmisek?

Dotarł na koniec pokoju, do półki z książkami, odwrócił się i ruszył z powrotem. Po raz kolejny spojrzał na Harper i tym razem zobaczył coś, co go zmroziło.

– Hej, skarbie, nic ci nie jest? – zapytał.

Harper gapiała się na niego. Nie wiedziała, co powiedzieć. Było to zadziwiająco trudne pytanie, jedno z tych, które wymagały głębszego zastanowienia.

– Danny? Muszę kończyć. Chcę posiedzieć przez chwilę z Harp. Postąpiłeś słusznie, zabierając dzieciaki. – Urwał i po chwili dodał: – Tak, w porządku. Wyślę tobie i Gail zdjęcia, ale jakby co, nie macie

ich ode mnie. Trzymajcie się.

Zakończył rozmowę, odłożył telefon i spojrzał na Harper.

– O co chodzi? Dlaczego wróciłaś tak wcześniej?

– Pod szkołą był mężczyzna – zaczęła Harp i nagle kawałek czegoś, emocji, które przybrały realny kształt, utknął jej w gardle.

Jakob usiadł na kanapie i położył rękę na jej plecach.

– Dobrze – uspokoił ją. – Już dobrze.

Nacisk na tchawicę ustąpił i Harper odzyskała głos.

– Był na placu zabaw. Widziałam go przez okno. Zataczał się, jakby był pijany. Nagle upadł i zaczął się palić. Płonął jak słomiana kukła. Połowa dzieci to widziała. Niektóre z nich były w szoku. Całe popołudnie starałam się je uspokoić.

– Och, skarbie. Trzeba było mi powiedzieć. Nie wisiabym tyle na telefonie.

Odwróciła się i przytuliła głowę do jego piersi, a on objął ją szczupłymi, umięśnionymi ramionami.

– W pewnym momencie na sali gimnastycznej było czterdzieścioro dzieci, kilku nauczycieli i dyrektor. Jedne płakały, inne się trzęsły, a jeszcze inne wymiotowały. Ja sama miałam ochotę płakać, trząść się i wymiotować.

– Ale tego nie zrobiłaś.

– Nie. Zamiast tego rozdałam sok w kartonach. Nowatorska metoda leczenia.

– Zrobiłaś, co mogłaś – odparł. – Dzięki tobie Bóg jeden wie, ile dzieciaków zniosło jakoś ten koszmarny widok. Wiesz o tym, prawda? Zobaczysz, do końca życia zapamiętają, jak się nimi opiekowałaś. Na szczęście masz to już za sobą i jesteś ze mną w domu.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, otoczona wianuszkami jego ramion, wdychając ten szczególny zapach – mieszanek wody kolońskiej o zapachu drzewa sandałowego i kawy.

– Kiedy to się stało? – Jakob wypuścił Harper z objęć i wbił w nią spojrzenie oczu koloru migdałów.

– Na pierwszej lekcji.

– Dochodzi piętnasta. Jadłaś lunch?

– Nieee.

– Kręci ci się w głowie?

– Aha.

– Zrobmy ci coś do jedzenia. Nie wiem, co jest w lodówce. Może coś zamówimy.

Kto zamawiał płonący półmisek? – pomyślała Harper i poczuła, że pokój kołysze się jak pokład statku. Opadła na poduchy kanapy.

– Może tylko wody – odparła.

– A co powiesz na wino?

– Jeszcze lepiej.

Jakob wstał i podszedł do stojącego na półce stelaża na butelki z winem. Przyglądając się kolejnym etykietom – które wino najlepiej komponuje się ze śmiertelną epidemią? – odezwał się:

– Myślałem, że takie rzeczy dzieją się tylko w krajach, gdzie zanieczyszczenie jest tak ogromne, że powietrze jest gęste jak zupa, a rzeki przypominają ściek. W Chinach. Rosji. Byłej Komunistycznej Republice Szambostanu.

– Rachel Maddow mówiła, że w samym Detroit było prawie sto przypadków. Opowiadała o tym wczoraj wieczorem.

– Właśnie o to mi chodzi. Myślałem, że takie rzeczy zdarzają się tylko w paskudnych miejscach, w których nikt nie chciałby być: w Czarnobyli, Detroit. – Wyjął korek z butelki. – Nie rozumiem, po co ktoś z zarażonych miałby wsiadać do autobusu. Albo samolotu.

– Może bali się kwarantanny. Myśl o tym, że mogą cię trzymać z dala od najbliższych, dla wielu ludzi jest bardziej przerażająca niż sama choroba. Nikt nie chce umierać w samotności.

– Masz rację. Po co umierać samemu, kiedy można mieć towarzystwo? Nie ma większego dowodu miłości, niż zarazić najbliższych pieprzoną nieuleczalną chorobą. – Nalał do kieliszka złocistego wina, które przywodziło na myśl zamknięte w szkle, destylowane światło słoneczne. – Gdybym był chory, prędzej bym umarł, niż zaraził ciebie. Niż naraził cię na ryzyko. Myślę, że łatwiej byłoby odebrać sobie życie, wiedząc, że robię to, żeby chronić innych. Nie wyobrażam sobie czegoś bardziej nieodpowiedzialnego niż paradowanie po mieście z czymś takim. – Podając Harper kieliszek, pieszczotliwie musnął jej palce. Potrafił dotykać czule, z wyrozumiałością; to było w nim najlepsze: zawsze wiedział, kiedy zatknąć jej za ucho zbłąkany kosmyk włosów albo pogłodzić ją po

karku. – Łatwo zarazić się czymś takim? Przenosi się jak grzybica stóp, prawda? Tak długo, jak myjesz ręce i nie chodzisz boso po siłowni, nic ci nie będzie. Hej! Hej... Nie podchodziłaś do tego martwego faceta, prawda?

– Nie. – Harper nie zadała sobie trudu, żeby wetknąć nos do kieliszka i delektować się zapachem francuskiego bukietu, jak ją uczył. Kiedy miała dwadzieścia trzy lata, zaczęła z nim sypiać i była tak pijana miłością, jak nigdy nie będzie winem. Jednym haustem wypila swoje sauvignon blanc.

Jakob z westchnieniem opadł na poduchy i zamknął oczy.

– To dobrze. To bardzo dobrze. Masz koszmarną potrzebę opiekowania się ludźmi, co w normalnych okolicznościach nie jest niczym złym, ale w niektórych sytuacjach musisz pomyśleć o...

Ale Harper go nie słuchała. Zamarła, pochyliła się do przodu i odstawiła kieliszek na stół. W telewizji wiadomości sportowe zostały przerwane, a na ekranie pojawił się starszy mężczyzna w szarym garniturze, prezenter o nieśmiałych niebieskich oczach za szklami okularów dwuogniskowych. Pasek u dołu ekranu głosił: Z OSTATNIEJ CHWILI: SPACE NEEDLE PŁONIE.

– ...się do Seattle – mówił prowadzący. – Uprzedzamy, że materiał jest bardzo drastyczny i przygnębiający. Jeśli przed telewizorami znajdują się dzieci, prosimy, żeby go nie oglądały.

Zanim skończył, na ekranie pojawiły się zrobione z helikoptera zdjęcia wieży w Space Needle, która zdawała się dźgać bezchmurne, błękitne niebo. Wnętrze tarasu widokowego wypełniał czarny dym, który buchał przez okna, przesłaniając krążące wokół śmigłowce.

– Boże – jęknął Jakob.

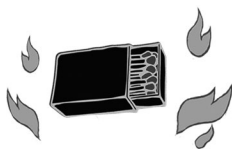
Mężczyzna w białej koszuli i czarnych spodniach wyskoczył z jednego z otwartych okien. Jego włosy płonęły, a ramiona rozpaczliwie młóciły powietrze. Chwilę później jego śladem poszła kobieta w ciemnej spódnicy. Skacząc, przycisnęła dłonie do ud, jakby bała się, że pęd powietrza zadrze materiał i cały świat zobaczy jej bieliznę.

Jakob wziął Harper za rękę. Splotła palce z jego palcami i ścisnęła je.

– Co się dzieje, do cholery? – spytał. – Co to, kurwa, jest?

MAJ-CZERWIEC

2



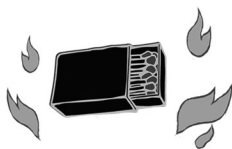
WEDŁUG STACJI FOX SMOKA uwolniło ISIS, wykorzystując zarodniki stworzone przez rosyjskich naukowców w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Zdaniem MSNBC wszystko wskazywało na to, że smocza łuska była dziełem inżynierów z Halliburton, wykradzionym przez członków chrześcijańskiej sekty, którzy sfiksowali na punkcie Apokalipsy świętego Jana. CNN przychyliło się do obu teorii.

Przez cały maj i czerwiec na każdym kanale toczyły się debaty, które nadawano w przerwach między transmisjami z kolejnych miejsc ogarniętych pożarami.

Kiedy Glenn Beck spłonął żywcem w trakcie swojego programu internetowego – na oczach ludzi, którzy widzieli, jak pod wpływem temperatury okulary wtapiają mu się w twarz – telewizyjni eksperci przestali dyskutować o tym, kto to zrobił, a skupili się na tym, jak się nie zarazić.

LIPIEC

3



STRAŻAK SPRAWIAŁ KŁOPOTY.

– Proszę pana – odezwała się siostra Lean. – Proszę pana, nie może pan się wypychać. Zostanie pan zbadany, kiedy przyjdzie pańska kolej.

Strażak zerknął przez ramię na ogonek, który ciągnął się na całej długości korytarza i zakręcał za róg. Spojrzał na siostrę Lean. Miał brudną twarz, nosił tę samą żółtą gumową kurtkę co wszyscy strażacy i trzymał w ramionach dziecko, chłopca, który obejmował go za szyję.

– Nie wypycham się. Wychodzę z kolejki. – Mówił z akcentem, który zwracał uwagę. Nikt nie spodziewał się londyńskiego akcentu po strażaku z New Hampshire. – Chodzi o coś innego. Nie o łuskę. Mój synek potrzebuje lekarza. Natychmiast, nie za dwie godziny. To w końcu oddział ratunkowy. Nie rozumiem, dlaczego nikt nie potrafi tego zrozumieć.

Harper szła wzdłuż kolejki, rozdając dzieciom lizaki i papierowe kubki z sokiem jabłkowym. Dla tych najbardziej nieszcześliwych miała w jednej kieszeni rzodkiewkę, a w drugiej ziemniak.

Mocny brytyjski akcent zwrócił jej uwagę i podniósł ją na duchu. Kojarzył się jej ze śpiewającymi imbryczkami, szkołami magii i zdolnością dedukcji. Wiedziała, że nie najlepiej to o niej świadczy, ale niespecjalnie się tym przejmowała. Uważała, że wszystkiemu winni są Brytyjczycy, którzy przez ostatnie sto lat uparcie promowali swoich detektywów, czarodziejów i nianie, tak więc musieli się liczyć z konsekwencjami.

Potrzebowała czegoś, co poprawi jej nastrój. Przez cały ranek wkładała do worków na zwłoki zwęglone, pocerniałe ciała, wciąż jeszcze ciepłe i dymiące. Z powodu kurczących się zapasów worków musiała spakować do jednej torby ciała dwójki dzieci, co wcale nie było takie trudne. Dzieci spłonęły, tuląc się do siebie, by po śmierci zmienić się w splątaną kocią kołyskę osmalonych kości. Wyglądały jak rzeźba inspirowana muzyką deathmetalową.

Harper nie była w domu od pięciu dni i spędzała osiemnaście godzin dziennie w gumowym kombinezonie zaprojektowanym z myślą o walce z wirusem ebola. Rękawiczki były tak ciasne, że aby je włożyć, musiała smarować ręce wazeliną. Cuchnęła jak prezerwatywa. Za każdym razem, gdy czuła ten zapach gumy i wazeliny, przypominała sobie szybkie numerki w akademiku.

Przeszła na początek kolejki i stanęła za plecami strażaka. To ona odpowiadała za komfort ludzi, którzy czekali na swoją kolej, nie siostra Lean. Poza tym nie chciała drażnić przełożonej. Pracowała w Portsmouth Hospital od trzech tygodni i prawdę mówiąc, trochę się jej bała. Jak wszystkie wolontariuszki.

– Proszę pana – powtórzyła siostra Lean głosem, w którym pobrzmiwało zniecierpliwienie. – W tej kolejce są same nagłe przypadki. Ciągną się aż do holu. Przyjmujemy je w kolejności, w jakiej się tu zjawiają.

Strażak zerknął przez ramię na kolejkę, która rzeczywiście ciągnęła się korytarzem aż do poczekalni. Sto trzydzieści jeden osób (Harper liczyła), zmęczonych i naznaczonych smoczą łuską, spoglądało na niego z rozżaleniem.

– Oni mogą zaczekać. Ten chłopiec nie może – warknął mężczyzna, odwracając się do siostry Lean. – Może wyjaśnię to inaczej.

Pod prawą pachą trzymał zardzewiały żelazny pręt zakończony z obu stron hakami, kolcami i czymś podobnym do obucha siekiery. Gdy rozluźnił ramię, pręt wpadł prosto w jego otwartą dłoń, jednym końcem dotykając niemal brudnego linoleum. Mężczyzna potrząsnął nim, ale go nie podniósł.

– Albo przepuście mnie przez te drzwi, albo wezmę to i zacznę rozwaląć wszystko dookoła. Począwszy od okien, a skończywszy na

komputerach. Sprowadźcie lekarza albo mnie przepuście, ale nie myślcie sobie, że będę tak stał i czekał, aż ten dziewięciolatek umrze mi na rękach.

Albert Holmes szedł niespiesznie korytarzem, mijając dwuskrzydłowe drzwi do gabinetów. On również miał na sobie gumowy kombinezon. Jedyne, co wyróżniało Ala od reszty personelu medycznego, było to, że zamiast gumowego kaptura miał na głowie czarny kask szтурmowy z opuszczoną szklaną osłoną. Zachował też pas z odznaką oraz walkie-talkie na jednym biodrze i pałkę policyjną na drugim.

On i Harper nadeszli z przeciwnych kierunków.

– Wyjaśnijmy sobie coś – rzucił Al. – Posłuchaj, kolego, nie możesz tu wejść z tym... jak wy to nazywacie? Chuliganem? Strażacy muszą zostawiać swój sprzęt przed wejściem do szpitala.

– Proszę pana, jeśli pójdzie pan ze mną, chętnie porozmawiam z panem o dolegliwościach pańskiego syna – zaproponowała Harper.

– To nie jest mój syn, a ja nie jestem rozhisteryzowanym ojcem – odparł strażak. – Jestem człowiekiem z chorym dzieckiem i ciężkim żelaznym prętem. Jeśli ktoś nie zajmie się tym pierwszym, dostanie to drugie. Chcecie ze mną rozmawiać? Gdzie? Za tymi drzwiami, gdzie są lekarze, czy na końcu kolejki?

Wytrzymała jego spojrzenie, prosząc w duchu, by zachował spokój, i obiecując bezgłośnie, że w zamian za to będzie dla niego miła, wysłucha go i zajmie się chłopcem z należytą troską i cierpliwością. Starła się powiedzieć mu, że próbuje go chronić, bo jeśli się nie uspokoi, skończy z twarzą wciśniętą w podłogę, gazem pieprzowym w oczach i ciężkim buciorem na karku. Harper była wolontariuszką od niespełna miesiąca, zdążyła się jednak przyzwyczaić do widoku ochroniarzy dających wycisk niezdyscyplinowanym pacjentom.

– Proszę za mną. Dam małemu lody cytrynowe, a pan opowie mi, co mu jest...

– Na koniec kolejki. Tak myślałem. – Mężczyzna odwrócił się i zrobił krok w stronę dwuskrzydłowych drzwi.

Stojąca mu na drodze siostra Lean wyglądała groźniej niż Albert Holmes. Była wyższa, miała obfity biust i posturę zawodnika blokującego.

– PROSZĘ PANA – przemówiła. – Jeszcze jeden krok i dziś po południu będziemy opatrywać pańskie siniaki i stłuczenia. – Omiotła zimnym, beznamytnym spojrzeniem czekających. Jej kolejne słowa były skierowane do nich wszystkich. – W tej kolejce obowiązuje pewien porządek. Możemy utrzymać go po dobroci albo siłą, ale go utrzymamy. Czy wszyscy mnie rozumieją?

Wśród ludzi rozległy się niskie pomruki aprobaty.

– Przepraszam. – Po skroniach strażaka spływały krople potu. – Pani chyba nie rozumie. Ten chłopiec...

– Co z nim? Poza tym, że cierpi na to, co wszyscy? – warknęła siostra Lean.

Chłopiec był chyba najładniejszym dzieckiem, jakie Harper widziała w całym swoim życiu. Jego ciemne, kręcone włosy tworzyły uroczą płataninę nad świetlistymi oczami koloru butelkowej zieleni. Miał na sobie szorty, więc każdy mógł zobaczyć znamiona na jego łydkach: czarne zakrętasy podobne do tatuaży, delikatne i niemal ozdobne.

– Jeśli nie jest pan zarażony, nie powinien pan go trzymać – powiedziała siostra Lean bez śladu troski w głosie. – Jest pan zarażony?

– Tu nie chodzi o mnie – odparł strażak. Dopiero później Harper uświadomiła sobie, że był to sprytny sposób, żeby wymigać się od odpowiedzi. – Zresztą on mnie nie dotyka.

Miał rację. Chłopiec, którego trzymał na rękach, miał odwróconą głowę i przywarł policzkiem do kurtki mężczyzny. Mimo to, jeśli strażak nie był chory, to albo nie obawiał się konsekwencji, co zakrawało na szaleństwo, albo po prostu był szaleńcem.

– Co mu jest?

– To coś z żołądkiem – odparł mężczyzna. – Coś jest nie tak z jego żołądkiem. Ledwie trzyma się na nogach...

– Strasznie tu gorąco – zauważyła siostra Lean. – Na pewno nie jest jedynym dzieckiem z bólem brzucha. Proszę wrócić na koniec kolejki i...

– Nie. Nie. Proszę – powiedział z naciskiem. – To dziecko niedawno straciło matkę. Była w budynku, który zawalił się kilka dni temu.

Siostra Lean przygarbiła się i na krótką chwilę z jej twarzy można było wyczytać ponure współczucie. Po raz pierwszy i jedyny zdawała się nie patrzeć na strażaka, ale na chłopca skulonego w jego ramionach.

– Ach – westchnęła. – To straszne. Posłuchaj, skarbie, to po prostu straszne. – Jeśli chłopiec ją słyszał, nie dał po sobie poznać. Tymczasem siostra Lean podniosła wzrok na strażaka, a na jej twarz wróciła zajądlność. – Coś takiego! Kto w dzisiejszych czasach nie chciałby cierpieć na ból brzucha?

– Chwileczkę. Proszę pozwolić mi dokończyć. Budynek zawalił się, grzebiąc pod gruzami jego matkę, a on tam był...

– Są wykwalifikowani psychologowie, którzy z pewnością porozmawiają z nim o tym, co się wydarzyło, i może nawet podadzą mu coś gazowanego i słodkiego na niestrawność.

– Niestrawność? Czy pani mnie w ogóle słucha? Ten dzieciak nie potrzebuje coca-coli i uśmiechów, potrzebuje lekarza...

– I zostanie zbadany, kiedy przyjdzie jego kolej...

– Kiedy godzinę temu wziąłem go na ręce, krzyczał jak opętany. To chyba nie są oznaki niestrawności, ty niewrażliwa cipo?

– Hej – wtrącił się Albert Holmes. – Tylko bez takich...

Twarc siostry Lean zrobiła się pąsowa. Kobieta rozłożyła ramiona jak dzieciak udający samolot.

– ALBO WRÓCISZ Z CHŁOPCEM NA KONIEC KOLEJKI, ALBO TRAFISZ NA ODDZIAŁ Z TYM ŻELAZNYM PRĘTEM WETKNIĘTYM W SWÓJ WĄSKI, ANGIELSKI TYŁEK! ROZUMIESZ?

Harper wybuchłaby płaczem, gdyby siostra Lean wrzasnęła tak na nią. Jej głos przywoził na myśl ryk huraganu. Dzieci w kolejce zasłoniły uszy i ukryły twarze za nogami matek.

Tymczasem Anglik nawet nie drgnął – mierzył przełożoną pielęgniarek wściekłym wzrokiem. Harper potrzebowała chwili, by odnotować fakt, że chłopiec również się nie poruszył. Patrzył na nią rozmarzonym, nieobecnym wzrokiem. Podejrzewała, że zemdłał z gorącą, ale okazało się, że chodziło o coś więcej.

– Proszę pana – zwróciła się do strażaka. – Na pewno mogę jakoś pomóc. Możemy porozmawiać o dolegliwościach chłopca na końcu

kolejki, a jeśli będzie wymagał natychmiastowej pomocy, sprowadzę lekarza. Jeżeli to rzeczywiście problemy żołądkowe, lepiej będzie się uspokoić i przestać krzyczeć. Porozmawiajmy na końcu korytarza. Proszę. Tylko pan i ja... Co pan na to?

Z twarzy mężczyzny zniknęła wszelka złość, a jego usta wykrzywił grymas, który mógł uchodzić za znużony uśmiech. Być może chłopiec rzeczywiście stracił matkę, ale w tamtej chwili dotarło do Harper, że mężczyzna w mundurze strażaka sam jest pogrążony w bólu. Wyczytała to w jego szklistym, umęczonym spojrzeniu człowieka, który doświadczył głębokiej straty.

– Pani też lubi Dire Straits? Jest pani za młoda. Ostatnim razem, kiedy nagrali jakiś hit, bawiła się pani klockami.

– Nie nadążam – przyznała Harper.

– Ty i ja... co ty na to*? Dire Straits? – Przechylił głowę i patrzył na nią z ciekawością.

Harper nie wiedziała, co powiedzieć, i nie była pewna, czy w ogóle jest o czym rozmawiać. Mężczyzna spoglądał na nią jeszcze przez chwilę, po czym dał za wygraną. Delikatnie uściśnął chłopca i ostrożnie postawił go na podłodze, jakby miał do czynienia z kruchym wazonem wypełnionym po brzegi wodą.

– Ma na imię Nick. Chce pani odprowadzić Nicka na koniec kolejki? – zwrócił się do Harper. – Podczas gdy ja dokończę rozmowę z tymi tu.

– Myślę, że obaj powinniście pójść ze mną – odparła Harper, ale wzięła chłopca za rękę. Gumowa rękawiczka zapiszczała cicho.

Widziała, że dzieciak nie czuje się najlepiej. Piegowata twarz wydawała się odlana z wosku i chłopiec chwiał się na nogach. Jego pulchne paluszki były niepokojąco gorące. Ale przecież wielu zakażonych miało gorączkę, no i skóra w miejscach dotkniętych zmianami była o dwa, trzy stopnie cieplejsza od reszty ciała. Z chwilą gdy strażak postawił chłopca na podłodze, ten wykrzywił usta i zgiął się wpół.

Mężczyzna kucnął przed nim i oparł halligan o ramię. Zaraz potem zrobił coś dziwnego: zacisnął pięści, pokazał je chłopcu i wykonał

* Dire Straits, *Romeo and Juliet*.

dziwaczny gest, jakby naśladował psa trącającego łapą powietrze. Chłopiec skrzywił się i wydał osobliwy, świszczący dźwięk. Harper nigdy nie słyszała czegoś takiego; brzmiał jak piszcząca zabawka.

Mężczyzna odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Harper, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Albert Holmes przyskoczył do niego i zacisnął palce na ręce.

– Co pan wyprawia? – warknął strażak.

– Proszę pana... Proszę puścić tę broń.

Strażak szarpnął rękę, Al pociągnął halligan do siebie, tak że strażak stracił równowagę, i Al, wykorzystując moment nieuwagi przeciwnika, zacisnął ramię na jego gardle. Gumowe podeszwy strażackich butów zapiszczały na płytkach, gdy Anglik szukał oparcia, próbując utrzymać się na nogach.

Obrazy migały przed oczami Harper, jakby obserwowała rozwój wydarzeń z nabierającą prędkości karuzeli. Próbowwała zrozumieć, co właściwie wydarzyło się przed chwilą – nie tylko dziwne zachowanie strażaka, ale skupienie malujące się na twarzy chłopca, jakby próbował dźwignąć niewyobrażalny ciężar.

– Jesteś głuchy – zwróciła się do dziecka, choć tak naprawdę mówiła do siebie. Ponieważ chłopiec nie był w stanie jej usłyszeć.

W szkole pielęgniarzkiej miała jeden dzień zajęć z języka migowego, z których nie zapamiętała nic a nic. A przynajmniej tak się jej wydawało. Nagle, bez zastanowienia, wskazała palcami na swoją pierś i zaczęła nimi przebiegać, jakby wwierała się we własne ciało. Poklepała się po brzuchu. „Tu cię boli?”

Nick przytaknął niepewnie. Kiedy jednak dotknęła rąk, którymi kurczowo trzymał się za brzuch, cofnął się i rozpaczliwie pokręcił głową.

– Już dobrze – uspokoiła go. Mówiła wyraźnie i powoli, licząc, że chłopiec potrafi czytać z ruchów warg. Słyszała gdzieś, może na zajęciach z języka migowego, że nawet ludzie umiejący czytać z ruchów warg rozumieją zaledwie siedemdziesiąt procent tego, co widzą, a większość głuchoniemych w ogóle tego nie potrafi. – Będę ostrożna. – Uznała, że jedyne, co może zrobić, żeby zdobyć jego zaufanie, to uśmiechnąć się i patrzeć mu prosto w oczy.

Jeszcze raz wyciągnęła rękę, żeby zbadać mu brzuch, ale chłopiec

zasłonił się i zrobił krok w tył. Nad jego górną wargą perlił się pot. Zaraz potem jęknął żałośnie. I wtedy już wiedziała. Wtedy była już pewna.

Al tymczasem zacisnął ramię na szyi strażaka, dusząc go i pozbawiając tchu. Kilka lat temu w Nowym Jorku podobny chwyt zabił Erica Garnera, mimo to – jak widać – nadal nie wyszedł z mody. W drugiej ręce trzymał halligan, przyciskając go do piersi strażaka.

Gdyby Harper była w stanie się skoncentrować, być może dostrzegłaby coś dziwnego w reakcji Anglika. Mężczyzna nie wypuścił bowiem halligana, ale też nie próbował wyswobodzić się z uścisku Alberta. Zamiast tego szarpał zębami czarną rękawiczkę lewej dłoni. Próbował ją w ten sposób zdjąć, kiedy Harper odezwała się czystym, dźwięcznym głosem, który sprawił, że obaj mężczyźni zamarli.

– Siostro Lean! Będziemy potrzebować noszy na kółkach, żeby zabrać to dziecko na badanie tomograficzne. Powinniśmy być przygotowani do operacji. Może na pediatrii jest ktoś, kto się tym zajmie?

Przełożona spoglądała ponad ramieniem strażaka; jej twarz przypominała kamienną maskę, wzrok miała nieobecny.

– Jak się nazywasz? Jesteś jedną z tych nowych dziewczyn, tak?

– Tak, proszę pani. Jestem tu od trzech tygodni. Zgłosiłam się, kiedy ogłoszono, że potrzeba wolontariuszy. Harper. Harper Grayson.

– Siostro Grayson, to nie jest czas ani miejsce...

– Właśnie że jest. Musi być. Ten chłopiec albo ma pęknięty wyrostek robaczkowy, albo ostre zapalenie wyrostka. Poza tym, czy mamy tu kogoś, kto zna język migowy? To dziecko jest głuche.

Strażak gapił się na nią, podobnie jak Al, który wlepił w nią wzrok ponad ramieniem Anglika. Jego uścisk zelżał i strażak mógł swobodnie oddychać. Lewą ręką rozmasował szyję – porzucił próby zdjęcia rękawiczki – i przyglądał się Harp z mieszaniną wdzięczności i ulgi. Wyglądał, jakby miał ochotę się roześmiać. Albo nagrodzić ją brawami.

Siostra Lean po raz kolejny oblała się rumieńcem, ale wyglądała na podenerwowaną.

– Nie można postawić diagnozy bez badania tomografem.

– Ja nie stawiam diagnozy – odparła Harper. – Ja... po prostu wiem. Byłam szkolną pielęgniarką i rok temu miałam w szkole podobny przypadek. Widzi pani, jak zwija się z bólu? – Marszcząc brwi, zerknęła na strażaka, jakby dopiero teraz rozumiała, co próbował im powiedzieć. – Mówił pan, że chłopiec był z matką. Czy to znaczy, że był z nią, kiedy zawalił się budynek?

– Tak. Właśnie to próbowałam wam powiedzieć. Jego matka zginęła. Chłopca znaleźliśmy pogrzebanego pod gruzem. Kiedy go wyciągnęliśmy, był trochę poobijany, ale nie wyglądało to na nic poważnego. Nie jadł nic i do nikogo się nie odzywał, ale myśleliśmy, że to w wyniku szoku. Dziś rano obudził się zlany potem i nie mógł usiąść, tak go bolało.

– Jeśli gruz spadł mu na brzuch, mógł uszkodzić wyrostek robaczkowy. Kiedy ostatni raz się wypróżnił?

– Nie powiem, żebym prowadził rejestr wypróżnień. Myślę, że mógłbym go zapytać, gdyby ten pan zechciał mnie puścić.

Harper spojrzała na Alberta, a ten, wyraźnie skonsternowany, rozdziawił usta.

– No, już – zwróciła się do niego rozgniewana. – Puść go i pospieszcie się. – „Pospieszcie się” było ulubionym powiedzeniem Mary Poppins, a Harper od małego lubowała się w powiedzonkach Julie Andrews i używała ich na okrągło. Dzięki nim czuła, że panuje nad sytuacją, i przypominała sobie o tym, co było w niej najlepsze.

– Przepraszam – bąknął Al i nie tylko puścił strażaka, ale pomógł mu wstać, po czym zrobił krok w tył.

– Szczęściarz ze mnie, że mnie pan puścił. – W głosie Anglika nie było gniewu ani żalu. – Jeszcze chwila i sam potrzebowałbym pomocy lekarza. – Przykucnął obok chłopca i znowu uśmiechnął się do Harper. – Niezła jesteś. Lubię cię. Pospieszcie się! – Powiedział to tak, jakby jego słowa naprawdę znaczyły „dobra robota!”.

Zaraz potem odwrócił się do Nicka, który kciukiem ocierał łzy z twarzy. Ręce strażaka zatańczyły, wykonując serię szybkich ruchów: zaciśnięte pięści, palec wycelowany w chłopca, zamknięta dłoń i druga, otwarta, kreśląca jakieś wzory. Patrząc na niego, Harper myślała o mężczyźnie bawiącym się nożem motylkowym albo grającym na jakimś fantastycznym, ale niewidzialnym instrumencie.

Nick pokazał trzy palce i uszczypnął nimi powietrze, jak ktoś, kto próbuje złapać muchę w locie. Harper знаła ten gest. Znała go większość ludzi. Oznaczał „nie”. Reszty nie rozumiała; palce chłopca, jego ręce i twarz, wszystko zdawało się poruszać.

– Mówi, że nie może zrobić kupy. Że próbował, ale za bardzo go boli. Nie wypróżnił się od wypadku.

Siostra Lean prychnęła, jakby chciała przypomnieć wszystkim, kto tu dowodzi.

– Dobrze więc. Obejrzymy pańskiego syna... No, już! Pospieszcie się! Albercie, poprosisz przez radio o nosze na kółkach?

– Już mówiłem... to nie jest mój syn – przypomniawszy strażak. – Ubiegałem się o rolę ojca, ale sztuka została odwołana.

– A więc nie jest pan rodziną – orzekła siostra Lean.

– Nie.

– To znaczy, że nie będzie pan mógł być przy badaniach. Cóż... przykro mi. – Po raz pierwszy usłyszeli w głosie przełożonej więcej zmęczenia niż pewności. – Tylko członkowie rodziny.

– Będzie się bał. Nie będzie wiedział, co pani do niego mówi. Mnie rozumie. Potrafi ze mną rozmawiać.

– Cóż, znajdziemy kogoś, kto będzie się umiał z nim porozumieć – powiedziała siostra Lean. – Poza tym, kiedy przejdzie przez te drzwi, zostanie poddany kwarantannie. Jedyne osoby, które mogą tam wejść, albo mają smoczą łuskę, albo pracują dla mnie. W tej kwestii nie mogę zrobić żadnych wyjątków. Wspominał pan o matce. Czy chłopiec ma jakąś inną rodzinę?

– Ma... – zaczął strażak, zaraz jednak urwał, ściągnął brwi i pokręcił głową. – Nie. Nie ma nikogo. Nikogo, kto mógłby tu przyjść i zająć się nim.

– Rozumiem. Dziękuję... dziękuję, że przyprowadził go pan do nas. Od tej chwili pozostanie pod naszą opieką. Zajmiemy się nim.

– Proszę dać mi chwilę – poprosił i spojrzał na Nicka, który starał się powstrzymać łzy cisnące się do oczu. Strażak zrobił gest, jakby mu salutował, i kolejny, jakby doił nieistniejącą krowę, a zaraz potem dotknął palcem piersi chłopca. Odpowiedź Nicka była zrozumiała. Pochylił się w stronę mężczyzny i pozwolił się przytulić: łagodnie, bardzo łagodnie.

– Lepiej, żeby pan tego nie robił – ostrzegła siostra Lean. – Chyba nie chce pan się zarazić.

Nie odpowiedział. Nie wypuszczał chłopca z objęć aż do chwili, gdy zza dwuskrzydłowych drzwi wyszła pielęgniarka pchająca przed sobą nosze na kółkach.

– Wpadnę, żeby zobaczyć, jak sobie radzi. – Podniósł chłopca i ostrożnie posadził go na noszach.

– Kiedy rozpocznie kwarantannę, nie będzie pan mógł się z nim zobaczyć.

– Zapytam o niego w recepcji – odparł strażak. Posłał Albertowi i siostrze Lean sardoniczny uśmiech, skinął głową i odwrócił się do Harper. – Jestem pani dłużnikiem i proszę mi wierzyć, traktuję to bardzo poważnie. Następnym razem, gdy będzie pani potrzebowała kogoś do ugaszenia pożaru, mam nadzieję, że będę szczęśliwcem, który odbierze pani zgłoszenie.

Czterdzieści minut później chłopiec został uspiiony, a chirurg dziecięcy, doktor Knab, otworzył jego brzuch, żeby usunąć objęty stanem zapalnym wyrostek robaczkowy wielkości moreli. Kolejne trzy dni dzieciak spędził na sali pooperacyjnej. Czwartego dnia zniknął.

Pielęgniarki zarzekały się, że nie opuszczał pokoju. Okno było otwarte na oścież i na oddziale zaczęły krążyć plotki, że chłopiec wyskoczył. To jednak nie miało sensu... sala pooperacyjna znajdowała się na trzecim piętrze. Skacząc z okna, połamałby obie nogi.

– Może ktoś przyniósł drabinę? – zasugerował Albert Holmes, kiedy roztrząsano temat nad miskami amerykańskiej wersji chop suey w pokoju dla personelu.

– Nie ma takich drabin, które sięgałyby do trzeciego piętra – prychnęła siostra Lean pełnym goryczy, naburmuszonym głosem.

– Są, na wozach strażackich – odparł Al, wpychając do ust kawałek bułki.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).